Opowieści Belzebuba dla wnuka

Przyznawanie się do słuchania King Crimson bywa ryzykowne. Dla jednych zespół skończył się w roku 1969, zaraz po fonograficznym debiucie. Inni gardzą pierwszym okresem, uważając go za zbyt oczywisty. Jeszcze inni tylko wcielenie z lat dziewięćdziesiątych uznają za to właściwe, a znajdą się też tacy, którzy z oburzeniem oznajmią, że dopiero teraz grupa osiągnęła szczyt swoich możliwości.

Michał Dziadosz

King Crimson to zjawisko wyjątkowe i nie da się go sklasyfikować. Każdy etap twórczości Karmazynowego Króla to inny skład, inny kierunek, wreszcie – inne brzmienie. Każdy album to odrębny byt.

Próba periodyzacji niemal pięćdziesięciu lat działalności grupy to niewdzięczne zadanie. Artykuł wymaga kompresji, dlatego wybaczcie, że nie wspomnę o pobocznych projektach członków zespołu. Nie napiszę o legendarnej szkole gitarowej Roberta Frippa ani o jego filozofii, inspirowanej Georgijem Gurdżijewem. Nie będzie zbyt wielu informacji o Davidzie Sylvianie, Franku Zappie, Peterze Gabrielu, Peterze Hammillu i wielu innych muzykach, związanych ze światem King Crimson. Nie wymienię też wszystkich składanek, kompilacji, koncertówek, bootlegów i wydań specjalnych. A trochę tego było. Skupimy się na dyskografii studyjnej, spróbujemy ogarnąć ten chaos. Chaos inspirujący, który – z przerwami – trwa już blisko pięćdziesiąt lat.

Okres mitologiczno-katastroficzny

King Crimson zaczęli grać w roku 1969. Szkolna znajomość Roberta Frippa i Grega Lake'a zaowocowała muzycznym spotkaniem. Prócz nich na pokładzie stanęli: perkusista Michael Giles (Giles, Giles and Fripp), Ian McDonald oraz Peter Sinfield – grający na instrumentach klawiszowych autor tekstów.

Zespół niemal natychmiast stał się popularny. Nie był to szał na poziomie The Beatles, ale w kręgach wymagających słuchaczy każdy wiedział, co to King Crimson. Debiutancki album „In the Court of the Crimson King" w samej Wielkiej Brytanii sprzedał się w nakładzie 100 tys. egzemplarzy. Tajemnicze, katastroficzne przesłanie tekstów elektryzowało ludzi i świetnie pasowało do tamtych niespokojnych czasów. Mitologiczno-ezoteryczne metafory przemawiały do wyobraźni zachodniego świata.

King Crimson było na ustach wszystkich inteligentnych słuchaczy, a Jimi Hendrix uznał, że to „najlepszy zespół świata". Sielanka trwałaby w nieskończoność, ale lider – Robert Fripp – stawał na głowie, by jego zespół… nie zrobił wielkiej kariery. Zwyczajnie bał się utracić nad nim kontrolę. Taka polityka może się wydawać dziwna, ale charyzmatyczny muzyk zawsze dawał coś w zamian. Zwykle była to kolejna błyskotliwa koncepcja nowego wcielenia grupy – w innym składzie, z innymi pomysłami, choć pod tą samą nazwą.

Pierwsza epoka działalności zespołu zakończyła się dość szybko. Można powiedzieć, że się rozpadł, a kolejnego krążka miało nie być. Fripp chciał dołą-

czyć do Emerson, Lake and Palmer, ale komuś nie pasował. Jemu zaś nie pasowało granie w Yes, choć dostał taką propozycję. Warto nadmienić, że na drugiej płycie Crimsonów miał śpiewać Elton John – a przynajmniej z taką inicjatywą wyszła wytwórnia. Legenda głosi, że Fripp wyrzucił go po pierwszej próbie. W końcu udało się zebrać stary skład i nagrać „In the Wake of Poseidon". Krytyka zmiażdżyła album, nazywając go „odrzutami z pierwszej płyty". Skład rozpadł się na dobre. Greg Lake odszedł i poświęcił się graniu w Emerson, Lake and Palmer.

Tło społeczne

Pierwszy okres w twórczości King Crimson artystycznie był udany. Gdy spojrzy się na zespół w kontekście ówczesnej sceny, jawi się on jako twór progresywny i awangardowy. Kiedy jednak porównamy go z tym, co na albumach Karmazynowego Króla działo się później, brzmi nieco… klasycznie. Na pierwszych płytach nie brakowało utworów pięknych i odkrywczych. Z drugiej strony – King Crimson to nie tylko „Epitaph", „21-st Century Schizod Man" czy „Moonchild".

We wspominaniu hipisowskich czasów nie ma nic złego, ale to tak jakbyście w młodości prowadzili słynną na cały kraj hurtownię dżinsów, a następnie wzięlibyście się za mnóstwo innych, ambitniejszych przedsięwzięć. Tyle że ludzie nadal kojarzyliby Was z dżinsami. Trochę to niesprawiedliwe. Skoro jednak społeczną recepcję zespołu mamy za sobą, skupmy się na muzyce.

Mała dekonstrukcja

Niektórzy dzielą prościej. Pierwszy okres działalności King Crimson to po prostu interwał 1969-1974. Kiedy jednak przyjrzymy się bliżej – sprawa przestaje być oczywista. Uznajmy zatem, że w okresie pomiędzy Gregiem Lake'em a Johnem Wettonem na wokalu zespół tworzył Robert Fripp wraz z dobieranymi na różne okazje współpracownikami. Ten rozdział w historii King Crimson to dwie bardzo dobre płyty: „Lizard" (1970) i „Islands" (1971). Na pierwszej śpiewali Jon Anderson (Yes) oraz (występujący wcześniej gościnnie) Gordon Haskell. Na drugiej – Boz Burrell. Oba albumy to King Crimson z krwi i kości. Potem jednak nastała zupełnie inna era.

Jazz-metal

Niektórzy okres trzech płyt z Johnem Wettonem uważają za najlepszy i najbardziej spójny w historii zespołu. Sporo w tym racji. Był to moment inspirujących poszukiwań, a mimo pewnego rozstrzelenia stylistycznego – utwory i brzmienie są rozpoznawalne niemal od razu. Wtedy też powstało kilka bardziej komunikatywnych i wpadających w ucho kompozycji. Płyty „Larks' Tongues in Aspic" (1973), „Starless and Bible Black" (1974) czy „Red" (1974) to nie tylko eksperymenty, jazzrock, dodekafonia i mroczne zakamarki art rocka, ale również parę melodyjnych piosenek z tekstem i linią melodyczną – choćby „Book of Saturday", „Nightwatch" czy „Starless". Była to porywająca epoka. Po latach nieżyjący już dziś Wetton wspominał: „Gdybyśmy wówczas ruszyli w trasę po USA, album „Red" zrobiłby w Ameryce wielką karierę. Nawet dziś, po latach, panuje tam opinia, że jest wspaniały. Ale Robert Fripp bał się sukcesu. Nie chciał dopuścić, by King Crimson stał się gwiazdą, jak Pink Floyd czy Genesis. (…) Po kilku latach ciężkiej pracy, licznych koncertach i trzech płytach rozwiązanie zespołu było dla mnie gorzkim zawodem. (…) Liczyłem na to, że będę grał w King Crimson kolejne 20, 25 lat...".

A potem nastał czas rozłąki i poszukiwań na własną rękę. Robert Fripp nagrywał z Brianem Eno ambientowe albumy albo występował jako gitarzysta Davida Bowiego (partia w utworze „Heroes" to on). John Wetton i Bill Bruford spotkali się w grupie UK, podejmując przy okazji mnóstwo innych aktywności (np. Bruford zagrał w 1976 trasę z Yes). Życie toczyło się dalej bez King Crimson, który wydawał się daleką przeszłością.

Gdzie się podział melotron?

Lata 80. XX wieku to specyficzny czas. Z jednej strony, kolorowy i inspirujący; z drugiej… na maksa obciachowy. Owa dwoistość wiązała się z demokratyzacją rynku syntezatorów, rozkwitem MTV, a przede wszystkim – przesyceniem surową w formie poprzednią dekadą, dla której kolejna musiała stanowić kontrapunkt. Gdy tylko pierwsza fala punk rocka zaczęła opadać, pojawiły się m.in. new romantic oraz różne „nowe fale". Od „new wave" w ujęciu klasycznym, czyli ambitniejszym, kiełkującym właśnie z punka, po NWOBHM (New Wave of British Heavy Metal). W obrębach i zrębach mieliśmy do czynienia m.in. z rockiem gotyckim, synth popem, cold wave'em, dark wave'em i… ogólnie dużo tych „wave'ów" było.

W który nurt wpisywało się odrodzone King Crimson? Zachwycona prasa pisała o „no wave". Warto jednak wspomnieć, że termin ów obejmował także kontrkulturowy ruch z Nowego Jorku, reprezentowany m.in. przez takich wykonawców, jak Lydia Lunch, Arto Lindsay, James Chance, DNA, Mars, Glenn Branca, Rhys Chatham. King Crimson, z ich mistrzowskim unikaniem podporządkowania jakimkolwiek schematom, pasuje tu idealnie, choć nie buntował się przeciwko niczemu, z wyjątkiem sztampy.

10 płyt King Crimson, których wstyd nie mieć:

In the Court of the Crimson King (1969)

Mimo wszystkich zastrzeżeń, płyta jest bardzo dobra. Melodyjne, klasyczne motywy, przeplecione z zabawami dźwiękowymi. Zasłuchani w modernizmie muzycy dają wyraz swoim fascynacjom, pokazując jednak znacznie więcej. Od cichego szeptu, do głośnego jazgotu. Na pewno nie jest to jedyna płyta King Crimson, którą warto znać, ale jeżeli ktoś nie słyszał, niech się nie przyznaje i nadrobi zaległości.

Lizard (1970)

Weźmy najbardziej niepokojące fragmenty z dwóch pierwszych płyt, uczyńmy je jeszcze bardziej ciemnymi i zawiłymi, dodajmy transowe rytmy i powstanie „Lizard". Ta płyta nie nadaje się do rozpoczynania przygody z muzyką Karmazynowego Króla, co nie zmienia faktu, że jest bardzo dobra.

Islands (1971)

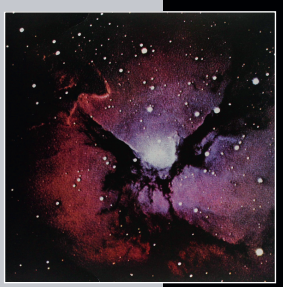

„Moja poezja to jest noc księżycowa, wielkie uspokojenie (…)" – pisał Konstanty Ildefons Gałczyński. Ten cytat świetnie pasuje do czwartej płyty King Crimson. A jeśli do rozmarzonego klimatu dołożymy sporą dawkę jazzu i stonowanego bluesa, uzyskamy niepowtarzalny klimat. Taka właśnie jest „Islands", choć nie ma się co łudzić, że to album lekki, łatwy i przyjemny. Owszem, jest bardziej przystępny od poprzedniego, ale King Crimson pozostają sobą, z całą swą zawiłością.

Starless and the Bible Black (1974)

Dylemat był spory – czy umieścić na naszej liście tę płytę, czy jej poprzedniczkę „Larks' Tongues in Aspic". Obie

Można powiedzieć, że publiczność otrzymała prawdziwą bombę. Tylko starzy fani byli w szoku, ponieważ zderzyli się z zupełnie nową estetyką – bez melotronu, bez jazzu i bez jazgotu.

Skromniutki, czteroosobowy skład rozwalał system. Dwóch Amerykanów – śpiewający gitarzysta Adrian Belew, znany ze współpracy z Frankiem Zappą, oraz unikatowy basista Tony Levin – i dwóch Anglików, działających w poprzednich wcieleniach Karmazynowego Króla: wybitny perkusista Bill Bruford oraz kierujący zespołem gitarzysta Robert Fripp.

Lider przyznawał, że specjalnie wpuścił do zespołu „krew zza oceanu", żeby odświeżyć brzmienie i uzyskać coś bardziej zwariowanego. Rzeczywiście, nowe King Crimson brzmiało jak nic innego.

Początkowo występowali jako Discipline, ale Fripp przestraszył się robienia kariery zupełnie od nowa i wrócił do starej nazwy. Czterech członków załogi, kilka lat wielkiej ekscytacji.

Powstały trzy płyty, nazywane przez fanów „kolorkami". Pierwsza „Discipline", z roku 1981, z dominującą na okładce czerwienią, przyniosła dźwięki niezbyt lekkie i łatwe, ale odkrywcze i bezkompromisowe. Kolejne – błękitna „Beat" (1982) i żółta „Three of a Perfect Pair" (1984) – stanowiły udaną kontynuację pierwszej.

Ten okres był niesamowity. Z jednej strony, inny od tego, co King Crimson prezentowali w poprzednim i w następnym wcieleniu; z drugiej – cechował się pewną konsekwencją. Dziwne i szalone utwory (np. „Frame by Frame", „Elephant Talk", „Three of a Perfect Pair") przeplatały się z ładnymi i zrozumiałymi (np. „Matte Kudasai", „Two Hands", „Heartbeat"). Zespół chętnie łączył oba światy. W ten sposób można go słuchać wybiórczo, unikając trudnych wątków, ale można się też nieźle naciąć.

Po trzech albumach grupa się rozwiązała. Robert Fripp powrócił do twórczości solowej oraz zaczął wieloletnią (choć z przerwami) współpracę z Davidem Sylvianem. W latach 90. XX wieku pojawiła się nawet opcja, by Sylvian śpiewał w odrodzonym King Crimson, ale odmówił. Tony Levin stał się wziętym muzykiem sesyjnym. Zagrał na płytach Yes, Dire Straits, Alice'a Coopera, Cher, Seala, Davida Bowie, Chucka Mangione, Carly Simon, Sary McLachlan, Tracy Chapman czy Paula Simona. Cudowne partie basu na „So" Petera Gabriela to jego robota. Zagrał też na „A Momentary Lapse of Reason" Pink Floyd.

Adrian Belew, równolegle z działaniem u boku Frippa, rozpoczął aktywność solową i pasmo licznych współprac. Grał m.in. z Mike'em Oldfieldem,

Jean-Michel Jarre'em, Davidem Bowie, Talking Heads, Cyndi Lauper i Joe Cockerem.

Ujeżdżanie tyranozaura

W połowie lat dziewięćdziesiątych Robert Fripp w wywiadzie dla polskiej telewizji zapowiadał powrót King Crimson. Twierdził, że brzmią ciężej niż Slayer oraz inne metalowe zespoły. Nie przesadzał – nowe wcielenie grupy wgniatało w ścianę. Trochę nawiązywało do rzężącego okresu z Wettonem, ale przede wszystkim proponowało coś zupełnie nowego.

W latach 90. zespół wydał właściwie jedną pełną płytę – „Thrak" (1995), ale to wystarczyło, by ta dekada zapłonęła na Zachodzie jasnym blaskiem. Ten fonograficzny powrót byłby prawdopodobnie jeszcze większym szokiem, gdyby nie został poprzedzony EP-ką „Vroom" (1994), która – choć nie zawierała najlepszych kawałków z głównego albumu – wyraźnie prezentowała nowe brzmienie zespołu, w strukturach będące powrotem do lat 70. XX wieku, zaś w barwach i natężeniu kojarzące się z metalem przyszłości. W roku 1996 King Crimson zagrali koncert w Sali Kongresowej.

Wykorzystana na płycie koncepcja podwójnego tria (dwa razy bębny, dwa razy bas, dwie gitary i wokal) na żywo brzmiała jeszcze lepiej. Robert Fripp, Adrian Belew, Tony Levin, Bill Bruford, Trey Gunn i Pat Mastelotto zabijali brzmieniem i umiejętnościami. Prawda jest jednak taka, że ówczesna polska publiczność nie była na to gotowa. Większość ludzi

są tak samo mocne i tak samo cenione. Wydaje się jednak, że dopiero na „Starless and the Bible Black" wcielenie z Wettonem osiągnęło poziom prawie tak wysoki jak na „Red".

Red (1974)

Kurt Cobain powiedział, że to najlepsza płyta w historii muzyki. Każdy fan wymieni ją na jednym z pierwszych miejsc. Rzeczywiście, spójność i oszczędność, przy jednoczesnym rozbuchaniu, czynią ją bardzo wyrazistą. Jeśli do tego dodamy grę ciszą i ciemnością, zrobi się wyjątkowo stylowo. To granie bezkompromisowe i nieprzystające do swej epoki. Lepiej rozumie się je teraz niż wtedy. Kontekst mrocznych lat 70., kryminałów z tamtego czasu, miejskich legend i zakamarków męskiej duszy. Klimat, klimat i jeszcze raz klimat.

Discipline (1981)

To był wielki i ważny powrót Crimsonów. Fani nerwowo rozglądali się za członkami starego składu i melotronem. Odrodzone King Crimson było trochę bardziej na luzie, przynajmniej wizualnie. Występowali w marynareczkach charakterystycznych dla epoki, ale… na tym kończyła się neonowa słodycz. Fripp/ /Belew/Levin/Bruford zaproponowali zwartą i niebezpieczną formułę. Nieprzeładowaną przesterami i dysonansami. Cała magia rozgrywała się na poziomie nietypowych rytmów i harmonii. Forma nie była jednak przestudiowana. Doskonale łączyła to, co trudne, z tym, co piękne.

Beat (1982)

Kolejny album z trylogii kolorków – tym razem niebieski. Odnosimy wrażenie jeszcze

większej spójności. Cudowna synergia rytmu i melodii uwodzi od pierwszych taktów. Nie jest to najłatwiejszy pop pod słońcem. Ale na pewno jeden z najciekawszych.

Three of a Perfect Pair (1984)

Znakomite uzupełnienie dwóch poprzednich płyt. Nie słychać na niej zmęczenia. Słychać za to dobrą rutynę i spójność jeszcze większą niż poprzednio. Na reedycji z 2001 roku pojawił się m.in. dodatkowy utwór – żart muzyczny, ukazujący, że King Crimson to także humor i dystans.

Thrak (1995)

Ta płyta przypomina szalony kosmiczny wehikuł z równoległego wymiaru. Wydawać by się mogło, że nic nas nie zaskoczy, a ktoś właśnie zaprasza do podróży ogromnym wannolotem z „Tytusa, Romka i Atomka", tyle że napędzanym energią atomową.

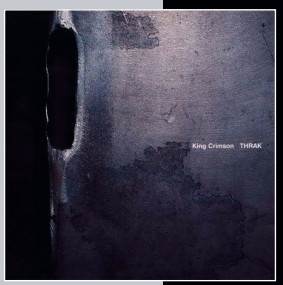

Brzmienie melotronu przeplata się z najpotężniejszymi riffami w galaktyce. Dowcip, dystans i autoironia przechodzą w autentyczny lament. Nostalgia miesza się z afirmacją, a apokaliptyczny strach – z potęgą otchłani, która spogląda na nas złowrogo. Mimo to wszystko jest spójne i genialne. To jedna z tych płyt, które bardziej się czuje, niż słyszy.

The Power to Believe (2003)

Być może nie była takim szokiem, jak „Thrak" (1995), ale na pewno świadczyła o wybornej dyspozycji muzyków w roku 2003. Dostarczyła nowych wrażeń, ale też kilku ładnych melodii. Jeśli Belew to – wiadomo – odprężenie. Jeśli Fripp – to trzymanie owego odprężenia w ryzach. Idealne połączenie. Szkoda, że dziś Belew bez Frippa to zbyt duże odprężenie, a Fripp bez Belewa to kij… wiadomo gdzie.

czekała na klasyki sprzed lat, nie do końca rozumiejąc, co się dzieje na scenie. Byłem tam wtedy, miałem 17 lat i też nie rozumiałem. Doceniłem dopiero z biegiem czasu.

Zadziwiające, że wcielenie King Crimson z lat 80. i to z okolic „Thrak" dzieli zaledwie dekada. A jednak mieliśmy do czynienia z kolejnym przewrotem i kolejną rewolucją. Od „Thraka" do dziś minęły 23 lata. I choć wydaje się, że czas płynie szybciej, przeskoki jakościowe widać mniej wyraźnie. Po co o tym piszę? Ano po to, by uświadomić, że w latach 90. XX wieku King Crimson nie byli zespołem dinozaurów, choć tak ich zapewne niektórzy odbierali. Mieli w sobie więcej żaru niż niejedna młoda kapela.

Post scriptum

Czy wydaną w roku 2000 płytę „ConstruKction of Light" można zaliczyć do tej samej epoki? Chyba tak, choć powstała w nieco okrojonym składzie. Na pokładzie zostali Robert Fripp, Adrian Belew, Trey Gunn i Pat Mastelotto. Publiczność średnio zrozumiała to wydawnictwo, a przecież jest bardzo dobre. To muzyka czytelna, choć może momentami przeintelektualizowana. Zimna, parodystyczna i zwariowana. Mimo niezbyt pozytywnych recenzji można tę płytę śmiało polecić. A już na pewno można polecić następną pozycję – „The Power to Believe" (2003), ale o tym dalej.

Po wydaniu tej wspaniałej płyty zespół trochę koncertował, po czym rozpłynął się w powietrzu. Wielokrotne próby reaktywacji doprowadziły w końcu do wznowienia działalności pod szyldem King Crimson, ale w nieco zmienionym składzie. Zdania na temat zasadności tego ruchu są podzielone.

Parzenie ziółek

Który okres w twórczości King Crimson jest najlepszy, a który najgorszy? Wszystkie są ciekawe, bo w każdym można znaleźć coś inspirującego i pięknego. Nie jestem jedynie zwolennikiem obecnego kształtu zespołu, mimo że grają w nim świetni muzycy. Być może ze względu na wokal; brakuje mi Adriana Belew. Obecny solista – Jakko Jakszyk – to trochę „król karaoke". Wszystko poprawnie, wszystko w timie, ale bez wyrazu. A i zespół gra zachowawczo.

Nie ma już tego spontanicznego czadu, „ujeżdżania tyranozaura" oraz dreszczu płynącego ze sceny. Mimo trzech zestawów perkusyjnych z trzema świetnymi bębniarzami oraz obecności Tony'ego Levina i Mela Collinsa. Ale ludzie i tak to lubią. Bo może ktoś zwyczajnie lubi herbatkę u cioci, połączoną z przeglądaniem albumów z dawnych szalonych lat. Oczywiście, zdarzają się gorsze rzeczy, ale o ile muzykom zawsze udawało się nie być dinozaurami, o tyle teraz tę umiejętność chyba trochę zatracili. Szkoda. Szkoda, bo gdyby zakończyli przygodę na „The Power to Believe" (2003), wrażenie byłoby zupełnie inne. Legenda przeszywałaby wyobraźnię, a tak – pozostaje nam się cieszyć ze wspaniałej przeszłości.

ADAPTACJA BESTSELLEROWEJ AUTOBIOGRAFII
ROMAINA GARY'EGO

KSIĄŻKA
Z FILMOWĄ OKŁADKĄ
OD 12 LIPCA
W KSIĘGARNIACH
W CAŁEJ POLSCE

CEZAR
FRANCUSKA AKADEMIA SZTUKI I TECHNIKI FILMOWEJ
4 NOMINACJE

CHARLOTTE **GAINSBOURG**

PIERRE **NINEY**

OBIETNICA PORANKA

KATARZYNA **SKARŻANKA**

MARTA **KLUBOWICZ**

PIOTR **CYRWUS**

FILM ERICA **BARBIERA**

Intrygująca mieszanka miłości, komedii i dojrzałego Camemberta

W KINACH OD 20 LIPCA

uniFrance films

AURORA